

KONTYNENTY

Opowieści
podróżne

45

2/2025



Spis treści

6 SŁOWO WSTĘPNE REDAKTORA NACZELNEGO

AFRYKA

- 12 **ANNA OLEJ-KOBUS,**
BOTSWANA. OKAWANGO, RZeka ŻYCIA
- 26 **JACEK POREMBA,**
GHANA. ŚMIECI ŚWIATA

EUROPA

- 44 **EWA CHWAŁKO, RUMUNIA. VIA TRANSILVANICA**
- 76 **MAX CEGIELSKI, BUDAPESZT. ZAMEK,**
CZYLI HISTORIA W SŁUŻBIE WŁADZY
- 90 **ALBERT PIELAK, SZWAJCARIA. LOZAŃSKA**
PRZESTRZEŃ UWIERSZOWIONA
- 102 **MARIA RENAUD, KORSYKA. OCZY**
ŚWIĘTEJ ŁUCJI I INNE CZARY
- 114 **PIOTR KORYBUT-KOTULEWSKI, PARYŻ.**
POŻAR W BAZAR DE LA CHARITÉ
- 128 **JĘDRZEJ JÓZEFOWICZ, NORWEGIA.**
PŁASKOWYŻ RENIFERÓW I POLARNIKÓW

AZJA

- 142 **MARCO POLO, INDIE. ŚWIĘTY TOMASZ**
I KRAINA BRAMINÓW

- 158 **WITOLD GAPIK, AZERBEJDŻAN. PODRÓŻ
DO ŹRÓDŁA WIECZNEGO ŻYCIA**
- 178 **KATARZYNA MAJEWSKA, TBILISI SZEPTEM**
- 210 **KATARZYNA NIZINKIEWICZ,
GRUZJA-TURCJA-ARMENIA. ERUSHETI**
- 230 **ANDRZEJ DYBCZAK, SYBERIA. LAS DUCHÓW**

AMERYKA PÓŁNOCNA

- 242 **MICHAŁ ŁUKASZEWICZ,
KANADA. PIERWIASTEK SM**
- 258 **LIDIA RUSSEL, KANADA.
ZAPISKI Z CANADIAN ROCKIES**

AMERYKA POŁUDNIOWA

- 282 **MIROSŁAW RAJTER, PERU.
FORTECA SACSAYHUAMÁN**

MIKROPODRÓŻE WEEKENDOWE

- 302 **POLSKA. W STRONĘ BRWINOWA**



Zdjęcie na okładce: Jacek Poremba,
Kobieta na targu Kantamanto, Ghana

Skraj

NIGDY WCZEŚNIEJ NIE BYŁEM, ALE WIDZIAŁEM TO MIEJSCE. I DLATEGO CHCIAŁEM TAM POJECHAĆ. Peñíscola. Cypel jak zaciśnięta pięść wbita w morze. Zamek templariuszy. Siedziba antypapieża. Sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Walencji.

Pociąg rusza z Estació del Nord i toczy się wolno. Przedziera się z trudem przez tkankę miejską Walencji, przecina stare koryto rzeki Turia, zamienione w cudowny ogród opasujący miasto. Między drzewami błysnie czasem, jak szklwiony kamyk oderwany od mozaiki, kawałek kosmicznej architektury Santiago Calatravy – wizjonera, który odmienił oblicze tej części miasta. Już po chwili zieleń Jardín de Turia za oknem ustępuje fatalistycznym torowiskom i betonowym, mrocznym tunelom. Szpetnym

jak wszędzie. Przedmieścia objawiają się blokowiskami – im dalej od centrum, tym bardziej się unізają, aż do postaci ruder, szop i baraków. Zieleń bujna, ale niczyja, płowieje w słońcu, płacze się i zagarnia przestrzeń nad najmniejszym śladem wilgoci. Ze skłębionych krzaków co i raz podrywa się spłoszony turkotem kół ptak.

Przejsie.

Krajobraz uspokaja się za Puig. Rury, baraki i instalacje fabryczne rozstępują się – widzę wreszcie morze. Lśni w dali. Za Puçol na pola wkracza porządek – pojawiają się pierwsze winnice. Tu pewnie rodzą się dobre białe wina walenciańskie. Za blisko te gleby od miasta, ale nie wnika, nie chcę wiedzieć, z jakich chorób cywilizacji je wyrekultywowano.

Przejsie.

Widowisko za oknem zyskuje nowy wymiar – na scenę wkracza historia. Po lewej wprost ze skały wyrasta warownia, jej kamienne mury z blankami ciągną się szczytem nad miastem przez kilkaset metrów. To Sagunt. Gdy w III w. p.n.e. zdobywali je Kartagińczycy, przerażeni mieszkańcy po raz pierwszy widzieli słońce, z których wódz Hannibal w wojnach punickich uczynił zwierzęta orężne. Czy to ten strach, przekazywany następnym pokoleniom, dyktował później konieczność otulenia całej góry obronnymi murami? Nie wiem.

Jest jeszcze rano. Morze w dali lśni jak lustro, słońce wisi nad nim, podwojona jasność oślepia patrzącego.

Krajobraz już całkiem wyciszony – z prawej woda, z lewej kolejne pasma górskie, porośnięte, dominuje kolor sahara.

Wjeżdżamy w kraj bujnej zieleni upstrzonej pomarańczowymi kropkami. To gaje pomarańczowe i mandarynkowe, w kwietniu obsypane owocami i jednocześnie kwitnące, bo taka jest natura cytrusów. Zapach – pośredni między kwitnącą lipą a jaśminem – spowija całą prowincję.

Niebawem pojawią się palmy, cyprysy, trawy strzeliste przypominające bambusy.

Przejdzie.

Znów krajobraz się psuje. Po prawej dymią kominy – fabryka ceramiki. Towarzyszy jej rozciągający się w przestrzeni, znacznie ponad miarę, skład gotowych produktów na regałach. Gdyby nie widok na pasek gór z lewej strony, pod błękitnym niebem, który rekompensuje cały ten rozgardiasz, byłoby przygnębiająco.

Śmietnik, potłuczone szkło i beton walają się po sadach owocowych, soczyście zielonych. Hacıendy smutne, porzucone. Wjeżdżamy w zabudowę przypominającą Sochaczew czy Ursus sprzed lat. Liszajowate mury, tynk odpada. Na budynku przy torach łuszczy się napis „Exportación de los naranjas y mandarinas”.

W nazwach mijanych co i raz ujawnia się dawna obecność Maurów: Alfafar, Almussafes, Algemesi, Alzira, Almassora, Alcalà...

Znów zbliżamy się do morza, jedziemy przy marinach, prawie po plaży. Widok-pokuta za wszystkie grzechy

epoki masowej turystyki. Bunkry upchane wedle zasady „który bliżej morza” ciągną się horyzontalnie i wertykalnie. Zwaliste hotele jak piramidy Azteków w Teotihuacán, tylko jeden na drugim. A z lewej przestrzeń, góry, pojedyncze domki. Krajobraz szaleje. Kaktusy jak w Meksyku. Araukarie. Pośrodku zielonej pustki dom jak kwadratowa baszta z blankami.

Morze coraz dalej, bloki znikły. Teraz pociąg jedzie przez nasiąkniętą wodą pola, chyba ryżowe. Paella valenciana...

Przejście.

Teren pofałdowany, jedziemy kotliną wśród gór. Nie widać wybrzeża ani blokowisk, to skraj Parc Natural de la Serra d'Irta. Dzika przyroda i pola uprawne z ziemią w kolorze ochry. Pociąg zwalnia – wzgórze z prawej wieńczy zameczek, który z daleka wygląda jak korona. Skład rozpędza się i ściga z Renfe na równoległym, oddalonym na wyciągnięcie ręki, torze. Wjeżdża do rozległej zielonej doliny z gajami oliwnymi. Przekraczamy granicę gór. Wtaczamy się powoli. Góry obłe. Teraz parę kilometrów szybszej jazdy. Morze wróciło. Benicarló. Peñíscola.

Nigdy tu wcześniej nie byłem, ale widziałem to miejsce. W nieznośnie hollywoodzkim filmie „Cyd” z 1961 roku, z Sophią Loren, opowiadającym dzieje XI-wiecznego bohatera Hiszpanii, pogromcy Maurów. Zachwycił mnie jednym obrazem: otwiera się brama warowni, wyjeżdża z niej zbrojna konnica – kwiat chrześcijańskiego rycerstwa

– chorągwie powiewają na wietrze. Naprzeciw sunie konno czarne wojsko Maurów. Obie armie pędzą na siebie po szerokiej plaży, w tle wznosi się majestatyczne zamczysko na cyplu jak pięść wbita w morze.

Przejsście.

Szukam cienia w ogrodach u podnóża zamczyska. Zgłębiam dzieje nieszczęsnego Pedro de Luny, czyli Benedykta XIII – antypapieża z linii awiniońskiej, który w 1422 roku tu właśnie dokonał żywota. Wspinam się na rozległy, zalany słońcem dziedziniec na samej górze. I stąd widzę wszystko. Plażę, po której galopowali hollywoodzcy aktorzy. Miasteczko. Wzgórza i góry. Wszystkie odcienie zieleni płynnie przechodzące jeden w drugi. Odwracam się i patrzę długo w morze. Nic nie zakłóca tu najprostszej geometrii świata: niebo, które linią prostą łączy się z morzem. Bez przejścia.

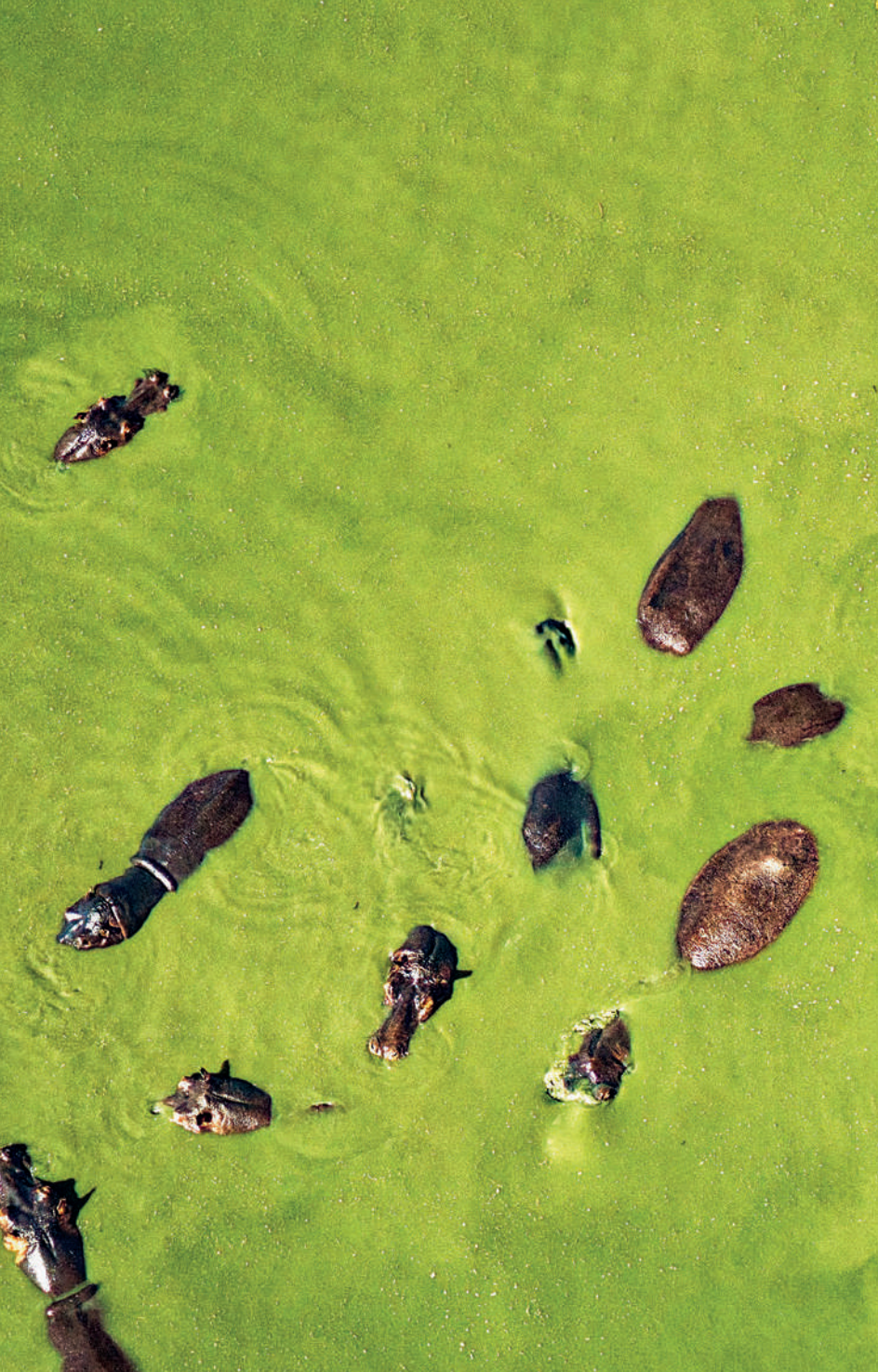
W tym numerze szukamy nowych przejść i przyglądamy się skrajom – pograniczom. Widzialnym i niewidzialnym. Poznajemy siedem krain Transylwanii i trzy światy szamanów syberyjskich. Wędrujemy po Turcji, Gruzji i Armenii – i po Indiach, w stronę mitów i legend. Ruszamy odkrywać tajemnice długowieczności w Azerbejdżanie i ludzkiej wytrzymałości w mroźnej Norwegii. W stolicy Ghany przyglądamy się jednemu z największych second handów świata. Spływamy rzeką Okawango w Botswanie i MacKenzie – w stronę Oceanu

Arktycznego, nasłuchujemy grzmotów w Banff w Kanadzie. Zgłębiaamy tajemnice twierdzy Sacsayhuamán strzegącej Cusco. Przemierzamy ścieżki nieznane w miejscach znanych: w Tbilisi, na Korsyce, w Paryżu, w Lozannie, w Budapeszcie, a nawet w podwarszawskim Brwinowie.

Chodźcie z nami.

Dariusz Fedor
redaktor naczelny

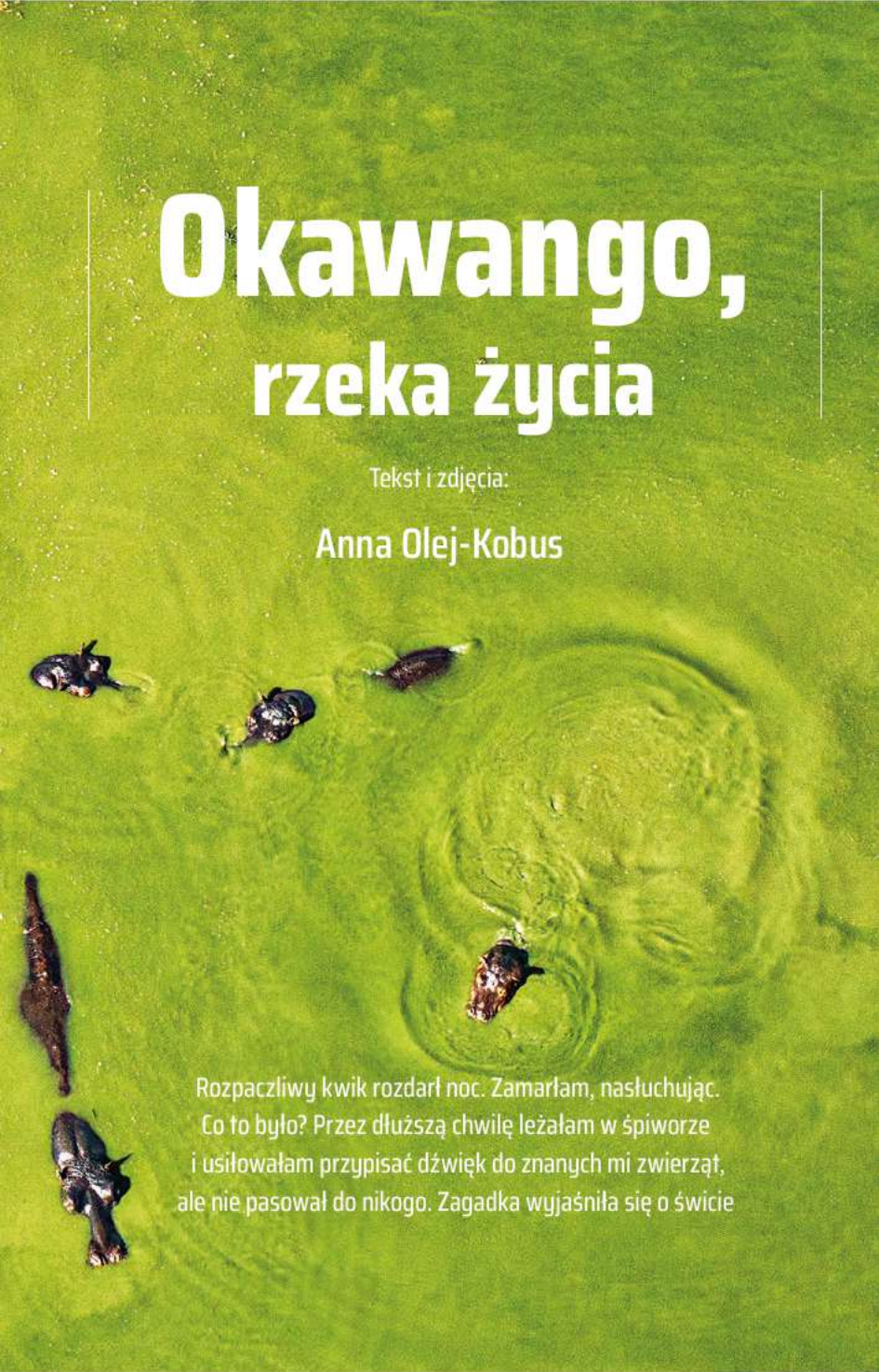




Okavango, rzeka życia

Tekst i zdjęcia:

Anna Olej-Kobus

An aerial photograph of a vast, green, swampy landscape, likely the Okavango Delta. Several hippos are visible, partially submerged in the water, creating ripples. The water is a vibrant green color, and the surrounding land is also green, suggesting a lush, wet environment. The hippos are dark in color, contrasting with the bright green water and land.

Rozpaczliwy kwik rozdarł noc. Zamarłam, nasłuchując.
Co to było? Przez dłuższą chwilę leżałam w śpiworze
i usiłowałam przypisać dźwięk do znanych mi zwierząt,
ale nie pasował do nikogo. Zagadka wyjaśniła się o świcie

– Słyszałaś? – przewodnik stał nad ogniskiem z kubkiem kawy. – Lwy polowały na hipopotama.

– Skutecznie? – pytam, wyciągając dłonie do płomieni, bo w sierpniu poranki nad Okawango bywają zimne.

– Chyba im uciekł, zaraz się przekonamy. Kilkanaście minut później odkrywamy ślady lwów kilkanaście metrów od naszych namiotów. Brak krwi oznaczał, że tym razem śniadanie im uciekło...

Mokoro i polerzy

Właśnie to przyciąga ludzi do Botswany: wszechobecna dzika przyroda. To jedno z ostatnich tak dziewiczych miejsc na Ziemi, a zawdzięczamy je rzece Okawango, która swój bieg zaczyna ponad tysiąc kilometrów wcześniej. Mozolnie płynie z mokradeł Angoli na południe, aż w czerwcu wielka woda dociera do Kalahari, gdzie kanałami wydeptanymi przez słonie i hipopotamy rozlewa się szeroko, zatapiając łąki i zmieniając wzniesienia w wyspy. Samobójcza rzeka tworzy oazę życia, bo gdy delta zmarływstaje – na terenach wokół niej życie zamiera. Czerwiec bowiem to początek pory suchej, gdy słońce wysysa każdą odrobinę wilgoci. Spragnione zwierzęta ciągną zatem ku delcie, a ich śladem ruszają drapieżniki oraz turyści pragnący doświadczyć magii tego miejsca. Tym razem odkrywamy urodę Okawango z łodzi *mokoro*. Płaskodenne puchówki od wieków były drążone w pniach stuletnich drzew kiełbasianych lub hebanowych, jednak od kiedy

rozwój turystyki zwiększył zapotrzebowanie, zaczęto je robić z włókna szklanego. *Polerzy*, czyli osoby, które stoją na łodzi i długim kijem odpychają się od dna, zdecydowanie je wolą, bo są lżejsze, a na biwak trzeba zapakować masę rzeczy. Za każdym razem zdumiewa mnie, ile tego jest. Bo niby płyniemy w busz, by zaznać prostego życia, ale z wygod rezygnować nie chcemy. Na pychówki pakuje się zatem namioty, materace, śpiwory, krzesła, stoły, miski, talerze, sztućce, skrzynki z jedzeniem i kanistry z wodą...

– Witajcie – mówi Elias w przystani obok wioski Morutsa. – Każda łódź przewozi dwie osoby, trzecią będzie *poler*: wasz sternik i pychowy. Jak chcecie wykonać jakiś ruch, dajcie mu znać, bo jak się gwałtownie podniesiecie, możecie go wrzucić do wody! A tam są krokodyle, więc lepiej, żeby nikt się nie kąpał. Rejs do obozu potrwa do dwóch godzin. Po drodze zobaczycie rośliny wodne, trochę ptaków, może hipopotamy. Gotowi? Ruszamy!

Kolejne łodzie odbijają od brzegu, *polerzy* z wprawą odpychają je trzymetrowymi tyczkami *ngashi*. Podczas rejsu uważnie patrzą w wodę. Krokodyla nie ma co się obawiać, ale do hipopotamów lepiej nie się zbliżać, zwłaszcza samotników, bo bywają nieprzewidywalnymi furiatami. A jakby taki wyrzucił łódź... lepiej zawczasu go zobaczyć i ominąć. Tymczasem Elias wprowadza mnie w tajniki turystyki w delcie.

– Morutsa, Ditsipi, Daunara i Boro to wsie w okolicy Maun. Rząd wydzierżawił ziemię lokalnej społeczności,



by rozwijać turystykę, ale na tych terenach nie wolno polować – wyjaśnia.

– A słonia? Czasem można go zastrzelić? – pytam, bo w chacie, którą mijaliśmy, jadąc do przystani, widziałam pasy suszącego się słoniowego mięsa.

– Czasem rząd daje zgodę – odpowiada Elias po chwili namysłu. – Bo one robią dużo strat, albo zdarza się, że kogoś zabiją. Więc tak, wtedy można takiego jednego słonia upolować i jego mięso dzieli się między ludzi. Możemy też w kanałach Okawango łowić ryby, zbierać trawę. Ale chodzi o to, by ludzie utrzymywali się z turystyki. Z organizowania rejsów.

Czym się różni rezerwat

Dlatego delta Okawango nie jest parkiem narodowym, lecz *game reserve*: obszarem zarządzania dziką przyrodą. Bowiem w parkach narodowych ludziom nie wolno mieszkac, natomiast w rezerwach ludzie i zwierzęta mogą współistnieć. Przy czym aby te ostatnie miały wartość dla miejscowych (inną niż tylko mięso do zjedzenia), trzeba ludziom umożliwić zarabianie na turystyce. Pojawia się praca: turyści potrzebują łodzi, przewodników, pamiątek... I chociaż *poler* za dzień pracy dostaje równowartość niespełna 10 USD, dla wielu jest to wciąż zarobek wart zachodu: Simon przyjechał z wioski odległej o 90 kilometrów, by pracować jako *poler* na naszym rejsie.

– Samolotem do mnie jest 15 minut, samochodem cały dzień, a *mokoro* muszę płynąć cztery dni... – wyjaśniał mi, jak liczyć odległości, przemieszczając się po delcie. Po dwóch godzinach płynięcia wreszcie docieramy do wysypki. Wygląda, jakbyśmy byli pierwszymi ludźmi, którzy zeszli na jej brzeg, chociaż nasi przewodnicy pewnie regularnie przybywają tu z grupami. Rozbijamy obóz i... kryjemy się w cieniu, obezwładnieni upałem. To kolejny fenomen delty: za dnia marzysz o chłodzie, nocą trzęsiesz się z zimna, wyczekując, by wreszcie pojawiło się słońce. Chyba że trafisz tu w *green season* (od listopada do kwietnia), to możesz liczyć na cieplejsze noce, a czasem nawet na deszcz uważany za największe błogosławieństwo w tym pustynnym kraju. Nawet tutejsze pieniądze nazywają się *pula* (deszcz). Późnym popołudniem ruszamy na piesze safari.

Krąg życia

Gdy człowiek naoglądał się filmów przyrodniczych, jest przekonany, że w delcie zobaczy sporo zwierząt. Tyle że filmowcy pracują tu latami, my mamy zaledwie jedno popołudnie i poranek. Na zbyt wiele nie ma co zatem liczyć, zresztą naszym przewodnikom raczej nie zależy, by spotkać stado polujących lwów czy likaonów. Oglądanie tych zwierząt z auta jest bezpieczne, ale spotkanie z nimi oko w oko to zupełnie inna sprawa! Zatem najczęściej podczas wędrówek oglądamy wodne ptaki,



antylopy, zebry, czasem żyrafy lub słonie. Piesze safari to okazja, by poznać rośliny, tropy zwierząt i oczywiście *droppings* („zrzuty”, bo odchody u największych ssaków spadają z wysokości), *dungs* (łajno, czyli większe pozostałości innych zwierząt) lub *scats* (odchody u drapieżników).



Jednocześnie taki spacer pozwala na zupełnie inne doświadczenie przyrody. Dostrzega się różnorodność traw, obserwuje z bliska ważki i chrząszcze, słyszy trele ptaków i szum wiatru w liściach palm mokolane... Pewnego razu na takim spacerze mój przewodnik Ofi zatrzymał się obok wyschniętej skóry bawołu.

– W buszu nic się nie marnuje, wszystko ma swój początek i kres, który staje się nowym początkiem. – Ofi należy do tych przewodników, którzy o naturze opowiadają z pasją. – Nie wiemy, co dokładnie zdarzyło się w miejscu zbrodni. Może ten bawół został zabity przez drapieżniki, może zmarł ze starości albo wręcz przeciwnie: mężnie walczył z innym bawołem, ale został ranny. Gasnącymi oczami widział, jak jego przeciwnik odchodzi w chwale, podczas gdy nasz bawół rozpoczynał wędrówkę do krainy przodków. Pozostała po nim tylko ta skóra, bo ciało zjadły sępy i mrówki, kośćmi posiliły się hieny, a jak kości już bardzo zwietrzały, to schrupały je żyrafy i żółwie lamparcie. Lecz to nie koniec. Minerale, które są w tej skórze, wnikały w glebę, użyźniając ją. Pamiętacie scenę z *Króla lwa*, gdy Mufasa mówi do małego Simby: „Jesteśmy w wielkim kręgu życia. My zjadamy antylopy, ale gdy umrzemy, wyrasta na nas trawa, którą zjadają antylopy”? A zatem tu mamy martwego bawołu, zjedzonego już przez padlinożerców. Teraz do dzieła biorą się algi, grzyby, pleśń, różne drobne organizmy, które będą powoli rozkładać tę skórę i sierść. Dzięki nim ziemia w tym

miejscu będzie żyźniejsza, a rośliny, które tu wyrosną, będą bogatsze w składniki odżywcze, więc chętniej zjedzą je różne antylopy, może też bawoły. I oczywiście wiecie, co będzie dalej...?

Gwizdź na słonia?

To była jedna z najpiękniejszych lekcji przyrody. W takim miejscu człowiek widzi swe istnienie we właściwych proporcjach i rozumie, że prawdziwymi władcami tej krainy są zwierzęta. Nawet jeśli pojawiają się nie wtedy, gdy ich oczekujemy. Płynęliśmy z powrotem do Morutsa, nagle *poler* zatrzymał łódź.

– Słoń – powiedział zafrasowany. – Zatarasował drogę w kanale.

Szary kolos objadał wodne rośliny i ani myślał nas przepuścić. Łodzie zatrzymały się obok siebie. I co teraz?

– Wiesz, podobno na słonia można zagwizdać z szacunkiem, to wtedy odejdzie – podzieliłam się radą przekazaną mi na innym safari.

– My mamy lepszy sposób. – Nasz przewodnik szybko skrzykuje się z innymi *polerami* i po chwili zaczynają... miarowo klaskać!

Zwierzę obróciło się ku nam, a ja uświadomiłam sobie, że jeśli zaszarżuje, to na pewno będzie szybszy od nas. A wyrócenie łodzi to dla niego żaden problem. Słoń zrobił energiczne dwa kroki w naszym kierunku, po czym odwrócił się w głąb naszego kanału. Na szczęście w końcu

wyszedł na brzeg i mogliśmy ruszyć dalej. W samą porę, bo tego poranka czekał nas jeszcze lot helikopterem! Po chwili słyszę charakterystyczny warkot, pilot wylądował, wzbijając chmurę kurzu i przeganiając z polany osiołki, po czym wyjął drzwi i zostawił je pod drzewem. Pierwsza grupa szczęśliwców uleciała w niebo.

Architekci natury

W maszynach Helicopter Horizons zakochałam się od pierwszego lotu, bo ani drzwi, ani okna nie oddzielają cię od przyrody. A że piloci znają deltę doskonale, potrafią z wysokości wypatrzeć jej mieszkańców. Przelatujemy nad przystanią *mokoro*, gdzie dopiero co skończyliśmy naszą przygodę, chwilę później mijamy kanał pełen hipopotamów. W dole wędrują zebry, stado słoni chłodzi się wodą. Każda minuta przynosi nowe wrażenia. Obok nas leci bielik, pod nami drga biała chmura czapli, żyrafy wędrują przez pustkę, koby patrzą na nas znieruchomiełe, stado bawołów wyleguje się w niewielkim bajorku. Z lotu ptaka delta pokazuje swe inne oblicze. Wytyczone w zielonych mokradłach błękitne kreski to kanały utworowane przez hipopotamy i słonie. Wędrując w poszukiwaniu co smaczniejszych kąsków (a w porze suchej walcząc o znalezienie odrobiny wody dla siebie), te stworzenia są niezmordowanymi architektami krajobrazu i mimowolnie dbają, by woda zawsze miała którąś rozprzewadzić się po delcie.





Bez delty? Jak żyć?!

Chociaż rzeka wydaje się odwieczna – przyszłość delty jest niepewna. Rozbudowująca się Angola potrzebuje ogromnych ilości wody i piasku, których Cubango (jak tam jest nazywana Okawango) ma pod dostatkiem, zaś rząd Namibii rozważa budowę tamy w rejonie Caprivi (kraj od lat zmaga się z suszą), co też mogłoby uśmiercić deltę. Czasem wyzwania tworzy sama natura: w 2017 roku trzęsienie ziemi przechyliło ląd na północ, przez co rzeka przestała docierać w odległe miejsca na południu. W efekcie tam, gdzie niegdyś były mokradła i wyspy, powstały teraz trawiaste równiny. Jeśli dodać do tego zmiany klimatu, nieprzewidywalność opadów oraz trwającą od wielu lat suszę na południu Afryki, istnieje realna obawa, iż delta Okawango mogłaby podzielić los jeziora Makgadikgadi, z którym ponad 10 000 lat temu była połączona. Wtedy, w miejscu dzisiejszych rozlewisk i oazy życia, powstałoby ogromne solnisko... – Nie wyobrażam sobie życia bez delty – Ofi kocha przyrodę i dlatego właśnie został przewodnikiem. – Gdyby jej zabrakło... Nie potrafię sobie takiego świata wyobrazić. I nie chciałbym w nim żyć...

W 2013 r. deltę Okawango uznano za jeden z Siedmiu Naturalnych Cudów Afryki, rok później została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Co roku do Botswany przyjeżdżają blisko dwa miliony turystów, z których ogromna większość chce zobaczyć ten fenomen

przyrody. Dlatego Ofi, jego przyjaciele przewodnicy i znajomi *polerzy*, pracownicy *lodge*, lokalnych biur podróży, nawet pani sprzedająca napoje w małym sklepiku w Morutsa i jej sąsiadka wyplatająca koszyki z liści palm, wszyscy oni mają nadzieję, że delta przetrwa. I będzie istnieć zawsze.

We wrześniu, jak co roku, zacznie wysychać. Woda pozostanie w lagunach i najszerszych kanałach, wyspy znów staną się stałym lądem, a w grudniu zwierzęta porzucą ten raj, szukając lepszego miejsca do życia. Piloci lecący nad deltą w lutym będą pokazywać oczka wodne, które stały się odciętymi bajorami, i ścieżki słoni prowadzące przez bezkresną pustkę w poszukiwaniu wodopojów. W tym czasie spadną deszcze w Angoli, a Okavango wyruszy w swą odwieczną pielgrzymkę, by po kilku miesiącach dotrzeć do spragnionej delty z najcenniejszym darem: wodą.

Anna Olej-Kobus

Pilotka wypraw, opowiadaczka historii, autorka m.in. *Zwierzęta Afryki. Przewodnik na safari*, www.AfrykAnka.pl



BARDZO CHCIAŁEM ZROZUMIEĆ TO MIEJSCE, WEJŚĆ W NIE, W JEGO ENERGIĘ, W ENERGIĘ PRACUJĄCYCH I MIESZKAJĄCYCH TAM LUDZI. Ale prosząc ich o spojrzenie w obiektyw, nie chciałem być dla nich intruzem. Dlatego aparat na targowisku wyciągałem tylko sporadycznie, by utrwalić co bardziej zatrzymujące mnie sytuacje, by nie patrzeć ciężko pracującym ludziom zbyt na rękę, ale by jednak móc te ręce pokazać.

W niedzielę wszyscy ci z targowiska świętują. Tłum pracujący staje się tłumem odpoczywającym, przenosi się na ten jeden dzień na słynne plaże Akry. Ludzie we wspólnym biesiadowaniu, kąpeli w oceanie, zabawie przy monstrualnie głośnej muzyce szukają chwili wytchnienia od trudu i znoju codziennego życia – od tych ciuchów z całego świata, które tu przechodzą przez ich ręce. Na plażach, które miast kusić złotym piaskiem, straszyły mnie i przerażały widokiem nieskończonej ilości śmieci wyrzuconych przez morze... Robię zdjęcia – po co? Po co...?

Na największym elektrośmietniku Agbogbloshie na przedmieściach Akry aparat wyciągałem tylko raz, zafascynowany kolorem i geometryczną formą różowego pledu. On spojrzał mi najpiękniej w obiektyw, nie budząc we mnie uczucia wstydu.

ŚMIECI świata

W stolicy Ghany Akrze działa jeden z największych second handów na świecie: Kantamanto Market. Oprowadzał mnie po nim jego założyciel i mózg Yayra Agbofah

Tekst i zdjęcia:

Jacek Poremba

Cytaty przy zdjęciach to przysłowia z Ghany ze zbiorów
Szkoły Studiów Globalnych Pardee,
Centrum Studiów Afrykańskich, Boston USA





Dziecko, które zadaje pytania, nie staje się głupcem.







**Nie pozwól, aby to, czego nie możesz zrobić,
odciągnęło cię od tego, co możesz zrobić.**





Musisz działać tak, jakby porażka była niemożliwa.









**To człowiek się liczy. Wzywam złoto, ono nie
odpowiada. Wzywam materiał, ono nie odpowiada.
To człowiek się liczy.**





Wiedza jest jak drzewo baobabu – nikt nie może objąć jej rękami.





Nie podążaj ścieżką. Idź tam, gdzie nie ma ścieżki, by rozpocząć szlak.







**Nikt nie jest w stanie przygotować się na porę
suchego wiatru wiejącego z pustyni poprzez picie
dużej ilości wody.**





Jeśli zmierzasz donikąd, znajdź inną drogę.





Mapka szlaku ze
zbiorów Stowarzyszenia
Tășuleasa Social

Via Transilvanica

Tekst i zdjęcia:

Ewa Chwałko

1400 kilometrów wędrówki przez
siedem ziem Rumunii



KTOŚ BIEGNIE OD STRONY POLA I KRZYCZY. TEN KRZYK LEDWO PRZEBIJA SIĘ PRZES CODZIENNE HAŁASY WSI: SZCZEKAJĄ PSY, GDACZĄ KURY, KROWY RYCZĄ, W CODZIENNEJ KRZĄTANINIE MOŻNA SIĘ CAŁKOWICIE ZATRACIĆ. Brakuje doby, aby to wszystko ogarnąć. Stróżujący na wieży kościelnej młodzieniec marszczy brwi, patrząc kilka sekund w napięciu w głąb doliny zamkniętej lasem. Wznoszący się tuman kurzu nie pozostawia złudzeń. Rozhuśtany w kilka sekund dzwon kościelny odrywa wszystkich od ich zajęć. Kobiety w popłochu porywają z kołyszek dzieci i krzyczą za starszakami. Nie ma czasu na wyprowadzenie z obór krów. Wszyscy biegną do kościoła. Ryglują pierwsze bramy i drugie. Trzecich w tej wsi nie ma. Kobiety z dziećmi chowają się do wnętrza gotyckiego kościoła o grubych murach i zupełnie niegotyckich okienkach. Mężczyźni obsadzają wieże strzelnicze poustawiane na murach wysokich na pięć metrów. Monogolowie są blisko.

Właśnie tak wyobrażałam sobie chwile śmiertelnego zagrożenia w rumuńskich wsiach rozsianych po Wyżynie Transylwańskiej. W wielu z nich, nawet całkiem małych, ciągle stoją strzeliste świątynie otoczone wstęgami wysokich murów. Można zwiedzać.

Via Transilvanica – ładnie i po rzymsku nazwali ten szlak długodystansowy jego twórcy, Stowarzyszenie Tășuleasa Social. Jest młody – został opracowany i oznakowany w 2022 roku. Poprowadzony

południkowo i można iść – jak kto woli – z północy na południe lub odwrotnie. Liczy ponad 1400 kilometrów. Wiedzie głównie Wyżyną Transylwańską, ale także górami: na południu Rumunii – Cernei, Mehedintzi, Banackimi, zaś na północy – Górą Käliman i pasmami Karpat biegnących przez dwie historyczne krainy Mołdawię i Muntenie (Wołoszczyznę).

Terra Romanum

Przez pierwszy tydzień wędrówki, która w sumie trwała 47 dni, towarzyszyły mi trzy koleżanki. Doleciałyśmy do Bukaresztu, zaś stamtąd nocnym pociągiem dojechałyśmy o trzeciej nad ranem do miasta Drobeta-Turnu Severin położonego nad Dunajem, nieco poniżej Żelaznych Wrót, czyli niezwykle ciężkiego do pokonania przełomu rzeki. W miejscu, w którym Dunaj łagodniał, Rzymianie wybudowali najpierw jeden z najdłuższych w starożytności mostów (liczył ponad 1,2 km długości) oraz potężny obóz legionistów, a z niego powstało to miasto.

Chociaż nasz pociąg miał wygodne kuszetki, jeszcze na kilka godzin rozłożyłyśmy się ze śpiworami na piętrze opustoszałego o tej porze dworca kolejowego. Znalazłyśmy się w krainie zwanej Terra Romanum. Wszystko w mieście świadczy o wpływach rzymskich – mijałyśmy ulice Trajana, Cyserona, Aureliana, Decybalu – ostatniego króla, który dzielnie bronił państwa Daków przed naporem Cesarstwa Rzymskiego. Swój